



## Grawitacja zawsze czujna, czyli o wspinaczkowych zakrętach i życiowych przewieszkach rozmawiamy z Bogumiłem Ślają

**Bogumił Ślaja - Bobas, Śloma. Postać kultowa, można go albo uwielbiać, albo nienawidzić, lecz nie można mu odmówić charyzmy. W pewnym momencie błyskotliwy wspinacz. Mógł być pisarzem, ale nie jest (projekt książki „W ścianach, łózkach i kieliszkach”), mógł zostać rzeźbiarzem, ale nie został (udana rzeźba Starej Borzymowskiej i inne), został natomiast - z dużym powodzeniem - szefem Centralnego Ośrodka Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu czyli „Betlejemki”. Dwie żony, kilka narzeczonych, setki wielbicielek rozrzuconych po świecie. Obecnie w stałym związku, jest ojcem dwojga dzieci - Noemi i Samuela. Jego opowieści i powiedzonka, które cytują pokolenia, można by pomieścić w całkiem okazałym tomie. Wielu się na nim wzoruje, lecz bez powodzenia. Wielu próbuje namówić go do utrwalenia na piśmie klejnotów jego wymowy, lecz bez rezultatu. Na 50. (1998) urodziny dostał kilka wiecznych piór i dyktafon - może coś z tego będzie...**

**Taternik:** Opowiedz coś o swoich początkach wspinaczkowych.

**Bogumił Ślaja:** Kiedy zaczynałem się wspinąć, dla mnie była to kwintesencja romantyzmu, tajemniczości, niesamowitości. Środowisko wpina-czy wydawało mi się nieprawdopodobnie fantastyczne, pozytywne, pełne ciekawych ludzi. Dla mnie to byli bogowie, a ja marzyłem, żeby być w pobliżu, dotknąć szat. Zacząłem się bardzo wcześnie wspinąć, oszukując...

**Taternik:** Ile miałeś lat?

**Bogumił Ślaja:** Szesnaście. Oszukiwałem, kręciłem, chowałem linę w kosówce. Cała moja działalność zaczęła się od wyjazdu na obóz z Kościoła ewangelickiego. Organizowano nam świetne wakacje w formie kolonii, a potem obozów młodzieżowych. Mieszkaliśmy na zakręcie w Chłabówce, w niewykończonym domu, sami gotowaliśmy, starsi opiekowali się młodszymi. Było świetnie, dziś takich kolonii pewnie nie ma. I pojawił się tam starszy pan - Aleksander Schiele, też ewangelik, znany nestor taternictwa, jeden z pierwszych, który mi pokazał góry. Robiliśmy wspaniałe wycieczki, podczas których opowiadał masę ciekawych rzeczy. Z pierwszej ręki usłyszałem opowieść o wyprawie, w której zginął Klimek Bachleda w Jaworowej, i wiele innych historii. Bardzo mnie to zafascynowało. Wydaje mi się, że to, iż zacząłem zajmować się górami, to było przeznaczenie. Moja siostra dostała w prezencie od tegoż pana Schielego album o Tatrach, czarnobiały, chyba Tobicyka. Uwielbiałem wieczorami oglądać fotografie ścian. Potem przysłała cała literatura górską...

**Taternik:** Jakie lektury zrobiły wtedy na tobie największe wrażenie?

**Bogumił Śloma:** Wszystkie! Wtedy pochłaniałem wszystko. Po latach, oczywiście, niektóre z tych książek straciły swoją świetność, niektóre są egzaltowane, natomiast w przeciwieństwie do współczesnych książek pisane są polszczyzną, a nie jakimś bełkotem! Niektóre współczesne książki nawet jeśli są pisane niezłe, to są źle tłumaczone. A cała klasyka polskich himalaistów to na ogół bohomazy. Mam je wszystkie i przeczytałem grzecznie, żeby być *au courant*, ale to nie jest literatura, która by wtedy mnie porwała. Tamte książki to byty: Zaruskiego „Na bezdrożach tatrzańskich”, Żuławski, powieści Cybulskiej. Czytałem wszystko, co mi wpadło w rękę. Cała ta klasyka była niesamowicie ciekawa.

**Taternik:** Czy miałeś jakiegoś idola? Oczywiście oprócz Dona Whillansa - prostego hydraulika z Londynu?

**Bogumił Śloma:** Okazuje się, że on wcale nie był z Londynu, tylko z Walii! Nie wiem dlaczego całe życie mi się wydawało, że z Londynu. Idol! To jest niewłaściwe słowo. Idol jest na scenie, na ekranie, ja miałem bogów! To byli wielcy, wspaniali ludzie, herosi, na których patrzyłem z daleka. Potem nadeszły czasy, że zaczęli się ze mną witać, czasem zaprosili mnie do stolika. To było dla mnie niebywałe. To były dobre nazwiska: Chrobak, Heinrich. Wypisałem je kiedyś na ścianie kredkami świecowymi, tak że przy odnawianiu nie chciało zejść. To był też Janusz Kurczab, który po latach został moim przyjacielem. To była cała plejada gwiazd, niektórzy już wtedy byli legendarni, potem te legendy trochę zbladły, jak żeśmy się poznali, ale gdy patrzyłem na nich z boku, byli wspaniali.

**Taternik:** Czy sądzisz, że ty możesz być teraz dla kogoś takim idolem?

**Bogumił Śloma:** Nie zastanawiam się nad tym w ogóle. Dochodziły mnie słuchy, że bywam, natomiast mnie to nie obchodzi i w to nie wnikam.

**Taternik:** Czy nie uważasz, że teraz początki wspinaczkowe odarte są z romantyzmu, magii i tajemniczości?

**Bogumił Śloma:** Myślę, że w tym sporcie każdy ma swój Everest i każdy ma swoją tajemną jaskinię; moją córkę, na przykład, fascynuje Kościelec i marzy już drugi rok, żeby na niego wejść. Opowiada sobie, wyobraża, nawet rysowała, jak to będzie wyglądało, jak tam jest na szczycie. Fascynuje ją, co zobaczy po drugiej stronie grani i myślę, że są to tak silne doznania, jak moje kilkadziesiąt lat temu. Potem ważne jest, co kto z tym robi. Teraz wszędzie jest pośpiech, nie ma celebrowania, ludzie nie mają czasu. Komuna to był złoty czas dla alpinizmu. Jak patrzę z perspektywy, to dziękuję losowi, że było to bolszewickie państwo i trafiłem na ten okres we wspinaniu. Poza tym, że wspinaliśmy się bardzo dużo i esencjonalnie, to była nasza recepta na życie, w zgłupiałej, zniewolonej Polsce pegeerów, kołchozów, towarzyszy, skretyniałych urzędników. My byliśmy wolni. Schronisko w Morskim Oku to była enklawa. Teraz już tak nie jest. Wszyscy się spieszą. Przyjeżdżają, wyjeżdżają. Ważna jest kasa - to nawet nie to, że ludzie są pazerni, ale po prostu muszą; szef puści tylko na parę dni. Zaczęliśmy normalnie pracować, a to, co było marzeniem przez całe dziesiątki lat, nie jest takim eldorado, jak się wydaje.

**Taternik:** Byłeś błyskotliwym wspinaczem, miałeś świetne przejścia, a potem nagle przestałeś się wspiąć. Byłeś w Himalajach, ale bez sukcesów. Dlaczego?

**Bogumił Śloma:** Już moja mama ciągle pytała: „Dlaczego nie jesteś, synu, ambitny?”. Ja nie byłem ambitny i to mi się z wiekiem pogłębiało. Nigdy nie zależało mi na sukcesach finansowych albo sławie. Bardzo szybko zorientowałem się, jak niebezpieczna jest sława i sukces, i jak w ogóle nic nie znaczy. Znaczyła tyle, że można było dostać, jak chłopaki po zimowym Evereście, talon na malucha. Ja też dostałem odznaczenie; medal za jakieś tam wejście. Było to obrzydliwe; ci towarzysze, te prymulki, ta coca-cola, sekretarka, która tłumaczyła nam, jak się zachować u towarzysza w gabinecie. Za medal nie dawali wtedy pieniędzy. Potem zaczęli dawać. Na ten zafajdany medal nie mogłem nawet wejść na Legię, na mecz. To było robienie z siebie błazna. Ja po prostu uwielbiałem się wspinać i nadal chyba uwielbiam. To mnie wciągało i bawiło. Sukcesy przyszły same; byłem mniejszy, słabszy, zwolniony z WF-u, i jak się zaczynałem wspinać, to wszyscy byli zdziwieni, że mi tak dobrze idzie, ale mówiono, że na dłuższą metę czy raczej wyższą metę nie dam sobie rady. Ale organizm jakoś mi się uodpornił. Moją karierę górską charakteryzowały dwie rzeczy: kiedy wchodziłem na wysokie obroty i zaczynało mi się układać - jeden sukces od drugiego, jedno wejście za drugim, wyprawa za wyprawą-to albo wchodziła bezpieka i zabierała mi paszport, albo robiłem sobie krzywdę i nie mogłem się wspinać. Były momenty, kiedy było mi z tego powodu smutno i przykro, ale dzisiaj, patrząc z perspektywy czasu myślę, że bardzo dobrze się stało, bo żyję. Gdybym szedł takim torem jak inni, a sukces robi sukces i człowiek staje się zachłanny, to być może nie rozmawialibyśmy teraz. Niektórzy zawspinali się na śmierć: Wanda Rutkiewicz i wielu innych. Miałem ciekawe życie, choć nie zawsze szło po najbardziej prostych i banalnych torach. Za ciekawość i esencjonalność się płaci. Najlepszy okres we wspinaniu miałem jako dojrzały już, trzydziesto-paroletni facet. Zrobiłem piękne przejścia z Januszem Kurczabem. Były w znakomitym stylu, dojrzałem, dorosłem do tego. Na początku lat 80. oddali mi paszport, zacząłem znowu jeździć (przez brak paszportu straciłem cały okres Hindukuszu. Koledzy jeździli, a ja z Dziadkiem nad Morskie Oko, wesoło, przyjemnie, Kazalnica, wina proste, te rzeczy).

**Taternik:** Zacząłeś jeździć w Himalaje...

**Bogumił Śloma:** Pojechałem na wyprawę na K2 kierowaną przez Janusza Kurczaba. Już samo to, że tam byłem jest dla mnie sukcesem. Zobaczyłem jak wygląda taka wyprawa, to był jeden z ostatnich wyprawowych molochów. Było to arcyciekawe; obserwowanie, jak się zachowują gwiazdy himalaizmu. Napięcia, emocje towarzyszące walce o szczyt. Było dramatycznie: śmierć Haliny Kruger-Syrokomskiej, ja miałem nieprzyjemną operację. Wszystko to było dla mnie bardzo ważnym doświadczeniem. Byłem też kierownikiem wyprawy na Arjunę (Kaszmir). Miałem, co prawda, kłopoty ze zdrowiem i w szczytowym ataku nie uczestniczyłem, ale była to niewątpliwie ciekawa i wartościowa wyprawa zakończona sukcesem. Wejście małą grupką w dziką dolinę i bardzo trudny szczyt.

**Taternik:** A potem miałeś wypadek.

**Bogumił Śloma:** Tak. Pojechałem na narty, moją wielką pasję numer dwa, a teraz nawet może numer jeden, na „Trofeo di Marsalia” i złamałem sobie nogę. Przeszedłem operację i od tego czasu musiałem bardzo uważać; od długiego chodzenia w kolanie zbierała się woda, ostrzegano, że nie mogę nosić więcej niż dziesięć kilo. Kolano uratowało mi zresztą życie, bo Gienek Chrobak namawiał mnie, żebym jechał z nim na Everest, miałem już wszystko załatwione. Na straszliwie twardym lodzie robiliśmy z Gienkiem ćwiczenia z kursantami pod Karbem, kolano było obciążone przez cały dzień, znowu spuchło, więc powiedziałem „No, jak mogę z tym kolaniem gdziekolwiek jechać?”. Podśledzał to Wacek Otręba, który był na rezerwie, ale niezręcznie mu było się odezwać, a bardzo chciał jechać. W rezultacie pojechali obydwaj i wtedy w „Betlejemce” widziałem ich po raz ostatni. Z taką nogą nie mogłem się poważnie wspinać, nie ustrzegłem się też, niestety, przed

zmianą wagi. Zawsze byłem drobniutki, szczuplutki, wspinałem się talentem, nigdy nie pakowałem, nie „bułowałem”, bo jestem leniem, ale wspinanie przychodziło mi łatwo. Moje hasło to: „Umiar, wdzięk, elegancja, polot”. Potem zacząłem pracować, objąłem „Betlejemkę”, a wiadomo, szewc bez butów chodzi - nie miałem czasu na wspinanie. Poza tym nigdy nie chciałem wspinać się z byle kim. Przyjaciele z mojego pokolenia albo się postarzel, a duża część się zabiła. Nie, nie, nie chciałbym jak Hierzyk dramatycznie lkać: „Stary, sześćdziesięciu partnerów mi umarło!”. Poza tym lubię się włóczyć na nartach, to jest moja druga pasja i dlatego oszczędłem od wspinania. Himalaje stały się dla mnie zamknięte, za mało w nie jeździłem, żebym mógł odnieść jakieś spektakularne sukcesy. Poza tym zawsze najbardziej interesowała mnie wspinaczka, nie dyszenie. Jestem alpinistą i najciekawsze, najfajniejsze rzeczy robiłem w Alpach, to mnie fascynowało. Chętnie jeszcze pochodziłbym na trudne ściany, na sześć-ciotysięczniki, na przykład.

**Taternik:** Jak długo prowadzisz „Betlejemkę”?

**Bogumił Słama:** 11 lat.

**T:** Czy można powiedzieć, że to jest twoje miejsce w życiu?

**Bogumił Słama:** Gdy się przyglądam temu światu i swoim na niego reakcjom, to myślę, że moje miejsce w życiu powinno być w Kobierzynie. Ale z jakichś powodów nie jest. Na pewno moim miejscem nie jest Warszawka, jak określa się poza Warszawą to miasto. Tak pośrodku między Kobierzynem a Warszawką jest „Betlejemka”. Nie wiem, co bym mógł robić, na pewno nie poszedłbym, jak paru moich kolegów, robić w nowej bezpiece. Może moim miejscem byłoby coś, co robiłem kiedyś - czyli zajmowanie się starociami, reperowanie, dłubanie, bardzo mi tego brakuje. Myślę, że „Betlejemka” to jest niewątpliwie moje miejsce. A jak inni to widzą...

**Taternik:** Jaki jest status „Betlejemki”, jeżeli chodzi o TPN?

**Bogumił Słama:** Jest to dzierżawa.

**Taternik:** Czy czynsz jest wysoki?

**Bogumił Słama:** Niski nie jest, ale można dyskutować. Wszystko jest względne. Dla PZA nie jest niski, bo „Betlejemka” zarabia na swoje utrzymanie jedynie noclegami. Natomiast nie zarabia się na kursach - te pieniądze idą na amortyzację sprzętu, ale głównie na podatki, wypłaty itp.

**Taternik:** Czy można powiedzieć, że COS się samofinansuje?

**Bogumił Słama:** Tak. Z tym, że były lata lepsze, a teraz są bardzo trudne. Wszystko odbywa się z ołówkiem w rękę, ponieważ w Tatrach zmalał ruch turystycz-no-taternicki. Przez Tatry przewalają się tłumy, ale nie są to prawdziwi turyści. Mam nadzieję, że dyrekcja Parku dostrzeże zagrożenie; to nie ci mityczni taternicy są zagrożeniem, bo stukają, płoszą kozice, rozbijają góry, tylko ta potworna masa ludzka, która wpełza na Halę, wnosi śmiecie, np. plastikowe butelki i puszki, i już nie ma siły znieść tego na dół, więc wyrzuca gdzie popadnie. Natomiast ludzi, którzy zatrzymują się na dłużej, którzy nocują i naprawdę chodzą po górach, jest mniej. W tej chwili, jeżeli ktoś zatrzymuje się na tydzień, to jest długo. Gdybyśmy mieli wyszynk, gdybyśmy mieli stołówkę, aaa, to prawdopodobnie firma by kwitła, a tak, balansujemy na granicy opłacalności.

**Taternik:** Na podstawie tak długiego doświadczenia, czy mógłbyś nakreślić sylwetkę przeciętnego kursanta? Jaki typ ludzi zapisuje się na kurs?

**Bogumił Słama:** Nie mógłbym. Nie ma przeciętnej. Na pewno obniżyła się granica wieku, jest sporo osób z zezwoleniami od rodziców, między 16-18 rokiem życia, co stwarza nowe problemy wychowawczo-psychologiczne. Trzeba uważać, co się mówi, nie wszystkie żarty są odpowiednie. Wiadomo, że inaczej rozmawia się z panienkami 20-letnimi, a inaczej z szesnastolatką. Przynajmniej powinno się. Przychodzą też starsi. W zeszłym roku chodziłem z kursantem rok młodszym ode mnie. Teraz właśnie jest na kursie zimowym. Zapalił się, stara się, schudł, znalazł swoje miejsce. Nie ma zbyt dużych ambicji, ale chce wyjeżdżać i się wspinać.

**Taternik:** Jaki był najdziwniejszy kursant w twojej karierze?

**Bogumił Słama:** Trudno powiedzieć... Miałem kiedyś taki zespół. Trudno ich omawiać osobno. Wszyscy byli dziwni: facet o mentalności ormowca, panienka bez przerwy ujadająca i jeszcze jeden niemły facet. Byli niesympatyczni, nierozgarnięci, źle się wspinali, nie umieli trafić pod ścianę ani wrócić ze szczytu. Wszystko robili powoli. Gdy wieczorem kładłem się spać, czułem dyskomfort, jak przed pójściem do dentysty lub urzędu. Ale taka jest praca instruktora, trzeba być zawodowo grzecznym, cierpliwym. A pojedyncze osoby... Była kiedyś taka egzaltowana pani, która czołgała się po prawie poziomym koniu skalnym i wrzeszczała: „Przyjaciele, naprężcie sznur, nie pozwólcie mi się osunąć w przepaść!”. Była to dość nieszczęśliwa osoba, po przykrych przejściach i szukała dla siebie drogi. Wszyscy, niestety, sobie z niej żartowali.

**Taternik:** Co robisz, jeżeli jakaś osoba wyraźnie nie ma predyspozycji do wspinania?

**Bogumił Słama:** Wtedy mówię jej o tym. Najpierw wykorzystujemy wszystkie możliwe środki; zmieniamy na przykład instruktora, bo jak wiadomo, koledzy są różni. Zawodowo są niezli, natomiast mają różne sposoby bycia. Zawsze można desygnować Bogdana Jankowskiego, który kulturą, dobrocią i taktem trafi do takiej osoby. Jeśli ktoś się nie nadaje, to uprawianie przez niego taternictwa będzie stwarzało zagrożenie dla jego życia i zdrowia, a i dla innych towarzyszących mu osób. Bo jeżeli ktoś wspina się powoli, po prostych drogach, radzi sobie, asekuruje się, to niech się wspina. Natomiast jeżeli ktoś kiepsko się wspina, nie jest w stanie opanować asekuracji, jest nieodpowiedzialny, wypina się, przepina w najmniej odpowiednich momentach, ma niekontrolowane reakcje i pewien rodzaj aspołeczności, to go to przekreśla jako wspinacza. To jest tak, jak z wypadkami. Nie ma wypadku tylko z jednego powodu, musi się na niego złożyć kilka czynników. Jednak takich przypadków jest stosunkowo mało. Nawet bardzo mało, jak na tyle ludzi, ile przechodzi przez „Betlejemkę”.

**Taternik:** A jakie cechy powinien mieć instruktor idealny. Taki wzorzec instruktora z Sevres pod Paryżem.

**Bogumił Słama:** Instruktor musi dobrze znać góry, w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie myślę o konkretnym paśmie, w którym pracuje. Powinien znać góry jako takie, mieć doświadczenie. Moim zdaniem dobrym instruktorem będzie tylko ten człowiek, który miał ładną górską karierę. Nie musi to być kariera superwyczynowa, może nie jest to nawet wskazane, ale musi robić przyzwoite standardy, mieć za sobą ileś nocy spędzonych w górach na biwakach planowanych i nie planowanych, ileś razy przestraszyć się, wyjść cało z opresji. To doświadczenie potem procentuje.

Ja to doskonale widzę; są koledzy, dla których nigdy nie jest lawiniasto albo jest zdecydowanie lawiniasto, nie ma „chyba lawiniasto”. Są tacy, dla których lawiniasto jest zawsze, wystarczy trochę śniegu i zaraz słyhać niepewność w głosie. Są koledzy, dla których zawsze wiatr

jest wichurą, i są tacy, którzy mówią, że wieje dość silnie, ale będziemy kombinować tak, żeby nam ten wiatr nie przeszkadzał. Są koledzy, którzy mówią: „Stary, jest niepodobieństwem wykopać jamę w śniegu, nie da się, nie ma śniegu!” i są koledzy, którzy zawsze znajdują taki kawałek śniegu, że się wkopią. Potem mówią: „No, nie była ta jama bardzo komfortowa, aleśmy przespali”. I to jest właśnie to ogromne doświadczenie. Niestety, coraz częściej przychodzą ludzie ze średnim doświadczeniem. Ale też nie wspinają się tak, jak wspinano się kiedyś. Instruktor musi być opanowany i musi być w gruncie rzeczy kulturalnym człowiekiem, ponieważ jest to praca z ludźmi, często w ogromnym stresie, w napięciu. Już nie mówię o tym, że musi być odpowiedzialny - to oczywiste. Jeśli zdarzy mu się być względem klienta nieuprzejmym, to co powie zabrzmi ordynarnie, wybuchnie - musi umieć to potem załagodzić, powiedzieć „przepraszam”, wykonać jakiś gest. Łącznie z tym, że jak przesadzi, dać na przykład karabinek w prezencie. Powinien w gruncie rzeczy lubić ludzi, bo jest to praca z ludźmi. Ludzie przychodzą różni; jeśli masz dwie panienki, obie śliczne, inteligentne, dobrze się wspinają, są wpatrzone w instruktora, to raj, nie praca. A jeszcze do tego, jako trzeci jakiś facet, co nosi plecaki za wszystkich, też jest rozgarnięty i przemiły, i ma na przykład świetny motor i daje ci się przejechać. Ale tak nie jest. Przychodzą bardzo różni ludzie i musisz umieć z nimi pracować. Nie wspominam o sumienności, uczciwości, bo to jest jasne. Wojtek Świącicki powiedział kiedyś mądrą rzecz, chyba sam to wymyślił, bo nigdzie tego nie przeczytałem. Powiedział, że instruktorem (instruktorką) powinna być osoba, której powierzyłbyś własne dziecko. Mam sporą część znajomych z pracy, którym w ogóle nie oddałbym moich dzieci pod opiekę, a mam takich, którym z zamkniętymi oczami. Zakładając oczywiście, że zawsze może wydarzyć się coś nieprzewidzianego, bo góry są górami, grawitacja zawsze czujna, a wspinaczka jest wspinaczką.

**Taternik:** Czy spotkałeś instruktora, który się ewidentnie do tego nie nadawał, musiałeś odbyć z nim rozmowę...

**Bogumił Słama:** Tak, wyrzuciłem kogoś z pracy. Według mojej oceny się nie nadawał, a późniejsza kariera to potwierdziła. Powiedziałem, że być może ma rację, ale ja nie mam siły dyskutować na temat jego pomysłów, to ja jestem szefem, ja podejmuję decyzje i nie będziemy dalej współpracować.

Na ogół konflikty polegały na normalnej, zwykłej, siermiężnej nieuczciwości; nie czterech kursantów, a pięciu, nie dziesięć dni, a siedem. Niby podchodzili, ale w gruncie rzeczy schodzili, niby to była seria zjazdów, ale żaden nie przekroczył czterech metrów.

**Taternik:** Kiedy zacząłeś prowadzić „Betlejemkę”, nie było prawie wcale szkolenia prywatnego. Prywatni instruktorzy mogli liczyć na kursantów, którzy do „Betlejemki” się nie dostali. Teraz sytuacja się zmieniła i można nawet zaobserwować rodzaj animozji między COS-em a prywatnymi. Jaka jest, twoim zdaniem, przewaga szkolenia w „Betlejem-ce”, nad szkoleniem prywatnym? Dlaczego warto się w niej szkolić?

**Bogumił Słama:** Po pierwsze, ja nie bardzo widzę animozje między prywatnymi a COS-em...

**Taternik:** Ze strony prywatnych instruktorów daje się zauważyć pewien rodzaj lekceważenia: „Wielkie rzeczy, «Betlejemka»...”. Może jest to obawa przed konkurencją?

**Bogumił Słama:** Może tak jest, ale ja za bardzo tego nie słucham. Cenię sobie krytykę, ale musi ona polegać na tym, że ktoś przyjdzie i powie: „Słuchaj Boguś, jest tak i tak, uważam, że to i to można zmienić”. Bo przecież nonsensem jest powiedzieć, że robię wszystko źle, że źle prowadzę „Betlejemkę” i że całe przedsięwzięcie to idiotyzm. Mogę jednak popełniać jakieś błędy. Natomiast nie zetknąłem się z naprawdę rzeczową krytyką. Raz Ludwik Wilczyński powiedział mi, że

szkolenie kursantów jest bardzo dobre, ale szkolenie kadry instruktorskiej trzeba udoskonalić. Rzeczywiście miał trochę racji. Kilka rzeczy trzeba było udoskonalić. I jest to robione już od paru lat. Mam nadzieję, że najbliższe kursy będą całkiem OK. Natomiast życie nauczyło mnie, żeby przechodzić obojętnie obok tego, co mówi ktoś za plecami. Jak wprowadziłem wyjścia zespołów na Słowację, to dotarła do mnie pełna oburzenia krytyka, jak można ryzykować życiem kursantów, i wysyłać zespół do dzikiej doliny i na kruchą drogę. Z prywatnymi animozjami mogą wynikać z tego, że ich pilnuję, bo to mam między innymi w umowie o pracę. Pilnuję, żeby dziesięć dni wyjściowych, to było dziesięć, a nie siedem. Pilnuję, żeby program był realizowany. Przecież nie robię tego na złość kolegom, tylko w obronie praw kursanta. W jakiś sposób jestem rzecznikiem praw kursanta. Ci ludzie płacą, a poza tym człowiek gorzej wyszkolony ma większe szanse zrobienia sobie lub komuś krzywdy. Mam całe grono prywatnych instruktorów, którym nawet czasem dostarczam kursantów, np. Ryśkowi Gajewskiemu. Nie będę używał nazwisk kolegów, o których mam złe zdanie, ale nie widzę powodów, żeby nie mówić o dobrych. Daj Boże, żeby się do Ryśka dostać. To jest wielkiej klasy człowiek gór, znakomicie prowadzi szkolenie, jest z nim miło, bo jest dowcipny, ciepły i świetnie przygotowany.

Przewaga „Betlejemki”, z mojego punktu widzenia, jest taka, że działamy w grupie, w związku z czym trudno jest o błąd. Wieczorem robimy odprawę. Jestem czasem apodyktyczny i w pewnych momentach przestaję dyskutować i każę coś zrobić, bo jak jest tylu ludzi to trzeba podjąć decyzję, bo inaczej dzieje się tak, jak w polskim sejmie. Jednak zawsze rozmawiamy, analizujemy, każdy zgłasza swoje propozycje. Często wycofuję się z moich pomysłów, jeśli zostaną przekonany. Chodzi o to, że ani mój idiotyczny pomysł nie przejdzie, ani pomysł kogoś innego. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i każdy może mieć gorszy dzień. Słynna, straszna historia Jurka Hirszowskiego. Kiedy wpadł na najgorszy pomysł w swoim życiu, to potwierdza. Jurek, który zawsze był przykładem rozwagi, wyważenia i uczył mnie instruktorstwa, zrobił coś nieprawdopodobnego. Bo to on zmajstrował, świeć Panie nad jego duszą, tę tragedię, wychodząc w góry w takich warunkach. Był w Morskim Oku wśród znajomych, ze swoim partnerem, przyjacielem, z Pomurnikiem. Był tam Maciek Pawlikowski, księga wiedzy o górach, a wszyscy się mijali i nikt nie powiedział: „Jurek, a weźże ty się w głowę...” Bo jeden myślał, że on zaraz wróci, inny przyszedł zmęczony i myślał, że może Jurek nie wyszedł. A u nas się siada przy stole i jeżeli ja powiem: „Słuchaj, Dozent, jutro bierzesz tych swoich i może na Drege'a uderzysz”, a oni mi powiedzą: „Boguś, przecież od dwóch tygodni pada deszcz i Dreg'em lecą kamienie!” - mają rację, nie pomyślałem i powiedziałem głupotę. Karny pracownik lub niedoświadczony instruktor mógłby pomyśleć, że może trzeba sprawdzić wspinaczkę w ścieku wodnym i by poszedł. A tu jest od razu stop dla głupich pomysłów. Jesteśmy wyposażeni w bardzo dobry sprzęt, mamy dobry program i metodykę. Co prawda programy są wszędzie takie same, każdy powinien przerobić to samo, ale ja wiem, jak to jest z prywatnymi instruktorami i na przykład z wykładami teoretycznymi. Duża część moich znajomych nie umie ani mówić po polsku, ani jasno wyłożyć problemu. Jeśli masz prywatnie grupę, musisz wszystko zrobić samemu. U nas każdy z instruktorów coś tam powie, ale wykorzystuję tych, którzy dobrze mówią i prowadzą ciekawe wykłady. Mam nadzieję, że im to jakoś wynagradzam. Wielu prywatnych przysyła na nasze wykłady swoich kursantów. Ja się na to godzę, bo to leży chyba w interesie wszystkich. I teraz najważniejsza sprawa: kurs trwa trzy tygodnie, w związku z czym wszystko jest rozłożone. Jak jest dobra pogoda, to jesteśmy „uchodzeni” tak, że wszyscy widzą podwójnie. Każdy przyzna, że dzień z mistrzem, obojętnie, czy to jest wspinaczka, czy to jest rzeźbienie, czy skrzypce, daje ogromnie dużo. Najlepiej obcować na co dzień z fachowcem i się od niego uczyć. Jak nie ma pogody, mamy rezerwę czasową i w ostatnie lata, kiedy były duże opady, to w te trzy tygodnie jednak byliśmy w stanie „wychodzić” cały program. Natomiast prywatni te minimum dziesięć dni wyjściowych traktują jako normę. Dziesięć i koniec. Teoretycznie wszystko idzie szybciej, zarabia się pieniądze w krótkim czasie, ale jak przyjdzie zła pogoda to się szarpną. Ilu ja mam takich kursantów, którzy przyjeżdżają na dwa dni,

nie mogą tego kursu skończyć, jak przyjadą po jakimś czasie, to się okazuje, że zapomnieli, co robili wcześniej. Wydaje mi się, że lepiej to zrobić *en bloc*, w dyscyplinie. Nie zdarza się, żebyśmy nie zrobili innych dolin. Mamy wiele ciekawych wyjść na Słowację. To są chyba plusy. Poza tym dostęp do literatury i różnorodność ludzi. Nie chcę powiedzieć, że szkolenie prywatne jest gorsze, mówię tylko, dlaczego szkolenie w „Betlejemce” jest dobre i jakie ma zalety.

Dla niektórych osób ma tę wadę, że trwa trzy tygodnie. Są ludzie, którym się wiecznie spieszy, są tacy, którzy nie są w stanie wyrwać trzech tygodni, bo mają tylko dwa tygodnie urlopu. Dobrze więc, że są instruktorzy prywatni. To nie o to chodzi, żeby byli prywatni i nieprywatni. Chodzi o to, żeby szkolić dobrze, uczciwie i fachowo.

**Taternik:** W pewnym momencie zrezygnowano z obowiązkowego szkolenia zimowego.

**Bogumił Słama:** Uważam, że źle się stało. Dokładnie pamiętam zebranie na Walnym Zjeździe PZA. Wybuchła właśnie wolna Polska i może nie wszystkim, ale zdecydowanej większości rodaków wszystko się pochrzaniło. Wolność i demokracja pomieszała im się z anarchią. Wszystko było bolszewickie, wszystko było głupie. *Free country* i zdumieli koledzy. Myślę, że demokracja to jest w gruncie rzeczy obrzydliwy ustrój, choć zawsze uważałem się za demokratę. Nic lepszego jednak nie wymyślono.

Krzyczano: „Znieść zimowe szkolenie, bo to postbolszewickie”. No i co? Zawada jeździ z jakimś pospolitym ruszeniem, *folksturm* wozi na te swoje wyprawy, a na zebraniach kwalifikacyjnych pada argument, że pojedzie ten, bo ma kartę taternika. Zawada na jednym z zebrań zaczął krzyczeć: „Jak wy tam szkolicie, że ja nie mam z kim jeździć w Himalaje?”. Boleję nad tym i robię wszystko, żeby rozreklamować kursy zimowe. PZA je dofinansowuje, ale mimo tego szkoli się ośmiu do dziesięciu kursantów w sezonie. Niestety, działa taki mechanizm, że jak coś nie jest obowiązkowe, to się tego nie robi. Jak ktoś ma wydać pieniądze na szkolenie, to mówi: „Lepiej sobie kupię goretex”. Albo: „Zenek mi pokaże jak wbijać czekan”. Jest cała plejada facetów wspinających się na pewno efektywnie, szybko przechodzących różne drogi w małym kręgu gór: Czołówka MSW, czasem na Kazalnicy, ale wiem od moich znajomych, którzy na tychże ścianach byli świadkami różnych incydentów, że młodzi ludzie mają ogromne braki w asekuracji, orientacji w ścianie itp.

Pamiętam, że na tym zjeździe najbardziej darło się dwóch facetów, używając argumentów, że to są struktury postbolszewickie, że całe PZA jest bolszewickie itd. Bardzo zabawne, bo jeden z nich był towarzyszem partyjnym, a drugi był aktywistą ruchu młodzieży socjalistycznej i decydował, kto dostanie forszę na wyjazd, a kto nie. Ci dwaj faceci głosowali najbardziej. I przegłosowali.

**Taternik:** W środowisku zdania na temat, czy PZA powinno istnieć, czy nie, są podzielone. Co nam daje PZA?

**Bogumił Słama:** PZA daje niewiele, powinien dawać więcej. Ale nawet to niewiele, które daje, upoważnia go do istnienia. PZA jest dlatego, że jest Club Alpino Italiano, że jest Deutsche Alpen Verein, że jest brytyjski klub, francuski klub, amerykański klub, chociaż to taki demokratyczny kraj. Jeśli gdzieś działają, to się zrzeszają i nic lepszego nie wymyślono. To jest wytwór chorych umysłów, że wszędzie na świecie jest wolność i każdy może robić, co chce. Nie każdy i nie co chce. U nas jest taka struktura wspinania, a nie inna.

**Taternik:** Ale na świecie nie ma czegoś takiego, jak karty taternika...



**Bogumił Śloma:** Sam nie rozumiem, po co są karty taternika. Wydawałoby się, że wystarczy legitymacja. Mieliliśmy jednak w PZA w minionej epoce paru geniuszy, od pieczętek i papierów, listów i donosów. TPN wymaga kart od osób poruszających się poza szlakami. To nie jest dla mnie przyjemność stemplowanie, naklejanie zdjęć. Wystarczyłaby legitymacja, ale karty wymaga TPN, a na jego terenie działamy. Może nie być kart taternika, ale przeszkolenie taternicze jest konieczne do tego, aby się wspinać. Mówię to z punktu widzenia faceta, który ma lat pięćdziesiąt, całe życie się „przewspinał” i wiele razy brał udział w akcjach ratunkowych, ściągał ludzi, widział zmasakrowane zwłoki. Umiem odróżnić wypadek losowy od wypadku będącego ceną za absolutną niewiedzę. Sam, choć mam dość mocno rozbudowane poczucie wolności, uważam, że w sposób delikatny, kulturalny można się wtrącać i w jakiś sposób kierować ludźmi w takich niebezpiecznych działaniach. Dlaczego motorowo-dniak, jeżdżący szybkimi łodziami, musi mieć licencję? Musi być przeszkolony, nauczony, bo jak przyłoży w żaglówkę ślizgaczem, to może dojść do tragedii. Tak jest w różnych sportach podwyższonego ryzyka, nie tylko u nas. Musi więc istnieć PZA. Pewien wybitny wspinacz, który był zagorzałym zwolennikiem zniesienia PZA, kiedyś, po wygłoszeniu na którymś zjeździe przemówienia, rozdzieraniu koszuli i krzyczeniu, że to jest struktura postbol-szewicka i że należy ją znieść, w ciągu dwóch tygodni po zebraniu napisał uprzejmy list do PZA. Po pierwsze z prośbą o pieniądze, wprawdzie nie dla siebie, bo mu nie wypadało, bo został dość bogatym człowiekiem, ale dla partnera, jakiegoś geniusza skały i lodu, którego wynalazł, i z którym miał jechać na jakąś górę. Tych pieniędzy, oczywiście, używaliby razem. Poza tym potrzebny mu był stempelek, bo jak PZA nie da stempelka, to taki Pakistan czy Nepal nikogo w pewne rejony nie wpuści. Taki jest świat, więc nie ma co tupać, zgrzytać i wrzeszczeć, że to jest bolszewickie. Jak ktoś nie chce, to niech nie należy. To jest, moim zdaniem, głównie problem kompleksiarzy, to jest źle rozumiane pojęcie wolności. Nikomu nie przyjdzie do głowy tupać nogami, że wymagane jest prawo jazdy. Teraz, jak były te wypadki lawinowe, wszyscy krzyczeli: zamknąć, rozstrzelać, nie ratować, pociągnąć do odpowiedzialności. Telefony do „Trójki”, eskalacja zagrożenia, po czym nadchodzi weekend, wsiądą kretyni z rodzinami w te swoje samochody i ginie czterdziestu. I co, zamknąć szosy, jak pada śnieg? Może zamykać szosy na weekendy? Trzeba za siebie odpowiadać.

**Taternik:** Powstało wiele szkółek wspinaczkowych, instruktorzy walczą o klientów, szkoli się dużo ludzi, sprzętu jest ile dusza zapragnie, można pojechać wszędzie, a poziom wspinania jest u nas niski. Nie ma błyskotliwych przejść ani w Alpach, ani w Dolomitach, nie odnosimy sukcesów w Himalajach, mało ludzi wspina się poważnie w Tatrach. Dlaczego?

**Bogumił Śloma:** Jest w tym trochę winy PZA; w pewnym momencie, z takich czy innych przyczyn zaniechano szkolenia na wyższym stopniu. Gdy wybuchła wolna Polska, upadły kominy i kluby się zdegenerowały. Pieniądze przyniosły być może więcej złego niż dobrego, bo kluby od pewnego momentu były do robienia pieniędzy. Ludzie poodchodzili, kluby zaczęły umierać i zaniknął system szkolenia po kursach; wyjazdy klubowe, na które jeździli ludzie z różnych pokoleń, starsi z młodymi. Dawniej, przez całe lata, kolejność była taka: obóz unifikacyjny, kwalifikacja, Dolomity, a potem Alpy czy Kaukaz, Pamir i Himalaje. Była to, jak ja to nazywam, kultura technologiczna i dawała znakomite efekty. Poza tym na wyjazdy centralne zawsze jeździło paru jurnych młodzieńców - jakieś wschodzące gwiazdy - oraz rutyniarze, doświadczeni wspinacze. Młodzi mogli prowadzić, ciągnąć drogę, ale nestor umiał pokazać, doradzić. Wiem to z własnego doświadczenia, jak silnym czujesz się w górach, mając za partnera takiego człowieka. Wspinając się z Januszem Kurczabem miałem zawsze ogromny komfort tego, że facet jego pokroju jest nie do zabicia, że zawsze w porę się wycofa, znajdzie wyjście z sytuacji. Jano miał swoje wielkie lata, kiedy prowadził całe supertrudne drogi, a potem, kiedy ja prowadziłem, on był mózgiem przedsięwzięcia. Nawet kiedyś dotarła do mnie taka zgrabna ploteczka: „E, co tam Bobas, przecież on się tylko wspina, a myśli Jano”. A teraz ludzie chodzą świniopas, jak mówi jeden mój znajomy.

Razem z przyjaciółmi w PZA próbujemy sprawić, żeby ludzie zaczęli wspinać się dla przyjemności wspinania, a nie dlatego, że jak będą taternikami, to będą mogli pomalować komin i zarobić. Pokutuje taki pogląd-wytrych, często powtarzany, że dawniej byli ludzie, którzy tylko się wspinali, tacy *desperados* komunizmu, a teraz jest dużo innych ciekawych rzeczy do wyboru. Ja myślę, że jak ktoś ma pasję i go to ciągnie, to czy ma do wyboru, czy nie, to robi to, co go fascynuje. Jak ktoś trzyma siedem srok za ogon, to nigdy niczego do końca nie będzie robił. Na świecie się to nie zmieniło. Angole, jak to Angole, jeżdżą i we dwóch potrafią przechodzić kilometrowe ściany w Himalajach, na górach, których nazwy nikt nawet nie zna. Łoją czternaście czy szesnaście dni, żeby się wycofać sto metrów od wierzchołka. Jeżdżą Żydzi, jeżdżą południowi Afrykanie, Francuzi, Walijszczy, Szkoci, a u nas nawet czołówka alpejska robi albo nie, pokłóca się, albo zabłądzą, albo się wycofają nie wiadomo dlaczego. Ja przepraszam, czasy się zmieniły, oni powinni wspinać się lepiej niż ludzie kiedyś...

**Taternik:** Czyli w ogóle nie wygląda na to, że dorastamy „w temacie wspinanie” do standardów europejskich. Mamy banki i karty kredytowe, czujemy się jak Europejczycy, ale pod względem wspinaczkowym właściwie cofnęliśmy się. Ludzie nie wspinają się ani więcej, ani lepiej, ich działania nie mają rozmachu. Czy wygląda na to, że przysiedliśmy, bo mamy teraz okres „ustabilizowanej transformacji”?

**Bogumił Słama:** Nie wiem. Trzeba poczekać. Moim zdaniem ruszy, zapali. Ludzie zaczną szukać enklaw, może w innej formie. Wyszliśmy już z socjalizmu i jego różnych dobrodziejstw, w związku z czym nie będziemy już siedzieli w swetrach z owczej wełny w schronisku, przy słabym świetle, nie będziemy jedli non stop mielonki, ten romantyzm odszedł. Chociaż może kiedyś wróci i będziemy znów do siebie mówić: „Słuchaj, stary...” W każdym razie ten sznyt „długoszowozanussiowy” (bo Zanussi wyobrażał sobie, że każdy taternik to fizyk, a obok niego kręcą się egzaltowane studentki historii sztuki). Natomiast może będzie tak, jak na Zachodzie; ludzie po pracy będą się spotykać w klubach. Poznałem kiedyś klub turyński, do którego należą rozmaici ludzie: student, kustosz, ze dwóch milionerów, i jest to organizacja towarzyska. Razem wyjeżdżają nie tylko w góry, a raz na dwa tygodnie spotykają się na kolacji. Gadają, pokazują zdjęcia. Pamiętam czas, kiedy nie było kominów, może dlatego, że byłem jednym z pierwszych w Polsce, który wpadł na pomysł malowania kominów. Przychodziło się do klubu na Jezuicką, czekało się na ten czwartek; tu jakaś sława przeszła, tu piękna kobieta (bo piękne kobiety obracały się wtedy w tym środowisku), a my, egzaltowani młodzieńcy, planowaliśmy sezony, przejścia, słuchaliśmy prelekcji o wyprawach. Teraz wszystko masz w telewizji i wszyscy wszędzie już byli, a dawniej przyjeżdżali faceci z Alp czy z Turcji, słuchało się ich z zapartym tchem, oglądało slajdy...

**Taternik:** Potem zaczęły się komin i kluby stały się organizacjami zawodowymi, potem nastąpiła zapaść, a teraz może znowu jest szansa, by stały się na powrót właśnie organizacjami towarzyskimi?

**Bogumił Słama:** Są kluby, w których zaczyna się coś dziać. Ludzie tylko muszą sobie uświadomić jedną rzecz: nie da się przyjemnie żyć i brylować za cudze pieniądze. Urząd miasta w mniejszych miastach jest w stanie pomóc, jeśli chodzi na przykład o lokal, natomiast życie klubowe musi się toczyć w oparciu o własne pieniądze. Można starać się o dotacje na wyprawę z klubu, ale nie można pieniędzmi klubowymi płacić za bilety w Tatry. Strasznie rozpuściły nas lata komunizmu, kiedy wszystko dawano. Dlaczego mam płacić za innych? Jeśli ktoś wyjedzie za dotacją, to znaczy, że za moje pieniądze, a ja nie jestem pewien, czy chcę komuś coś fundować. Klubów wysokogórskich nie da się, niestety, podciągnąć pod biznesmenów, tak jak kluby żużlowe czy piłkarskie.

Wydaje mi się, że ludzie mają teraz więcej pieniędzy. Mówi się, że kursy w „Betlejemce” są drogie, że kursanci głodują, że są biedni. Są tacy, którym się nie przelewa, ale widzę ile pieniędzy zamieniają inni na destylat w „Murowańcu”, który wiadomo, ile kosztuje.

Jeżeli chodzi o wyczyn, musi minąć trochę czasu. W latach 70-80. weszliśmy na bardzo wysokie obroty, czołówka się zabiła, a ci koledzy, co przyszli po nich, nie dorastają im do pięt. I chyba wytworzyła się luka pokoleniowa. O ile się orientuję, to aktualna czołówka się nie pozabijała, bo się nie wspina. Oni już nie interesują się górami tak naprawdę. Są jakieś rzuty na taśmę, ale nie ma w tym pasji. To musi wypływać z serca, z duszy. To musi być ciąg, jak nie masz tego ciągu, to ryzyko, zmęczenie, cierpienie, ta cała udreka, jaka jest związana z alpinizmem, cię zabije. Na samej ambicji nie pojedziesz. Musisz mieć silny imperatyw wewnętrzny. Zawsze mówię na kursach - jeżeli to nie jest twoją pasją, zostaw to, bo nie warto umierać i zostać kaleką. Nie warto narażać się, jeśli to nie jest twoja pasja. W końcu jest modelarstwo, szkutnictwo...

**Taternik:** A co sądzisz o komercyjnych wyprawach w Himalaje?

**Bogumił Słama:** Oni mi psują góry. To jest tak, jakby ci ktoś wchodził w brudnych butach do świątyni. Brudnymi butami. Zaczynają po niej łązić, dlatego, że jest modna. Nie podoba mi się to. Ale oni płacą za to cenę. Mam takie marzenie, okrutne, paskudne, ale ja jestem, jak wiadomo, złym człowiekiem; był taki dzień, że na stopniu Hillary'ego czekało się pół godziny i jednego dnia na wierzchołek Everestu weszło trzydzieści parę osób. Przysmykam oczy i widzę porządne załamanie pogody...

**Taternik:** Coś takiego opisuje John Krakauer w książce „Wszystko za Everest”...

**Bogumił Słama:** Ale ilu tam umarło, zaledwie parę osób! To wtedy jeden z uczestników zadzwonił do żony z „komórki”, pożegnał się, pozdrowił i umarł. Ona zresztą zarobiła na tym niezłe pieniądze. To jest makabryczne: te telefony komórkowe, te rozmowy ze szczytu, te telefony z bazy tutaj. Dla mnie udział w wyprawach, czar wspinaczek, wypraw polegał między innymi na rozstaniach. Dla mnie ważnym elementem były powroty. Różne. To był powrót z Kazalnicy, to był powrót z Alp, to był powrót z Himalajów. Z sukcesem, bez sukcesu. Jak się człowiek cieszył, gdy wracał, „nabał” się, ale wyniósł tyłek cało. Jak smakowała kiełbasa z rozna w barze „Rybitwa”, bo już się miało dosyć tych hinduskich przysmaków. I te rozstanie, te listy, na które się czekało w bazie. To było fascynujące, teraz świat zmalął. Mam porównanie, bo latałem boeingami, ale też jeździłem stopem, powoli, różnymi środkami lokomocji po Azji. Przejechałem jelczem przez Karakorum aż do Nepalu, do Katmandu, w tę i z powrotem. Znam smak takich podróży, zmiany. Inni ludzie, powietrze ma inny kolor, herbata inaczej smakuje. To jest urok podróży. A teraz, wsiada się w samolot, w pośpiechu robi drogę albo najczęściej nie robi, opowiada jakieś dyrdymały, że jakby nie wiało, to by się weszło, albo by się weszło, jakby się szło, a się nie szło, bo się stało. Nie podoba mi się to, co się dzieje, a ponieważ nie mam na to żadnego wpływu, więc staram się nie denerwować. Ale jak przeczytam w gazecie, że trzydzieści osób zginęło na Evereście, to nie będę tym wstrząśnięty. Z całą premedytacją ludzie pakują się w głupią sytuację. Nie dla psa kiełbasa. Ludzie całymi latami dochodzili do tego, żeby pojechać na Everest. Pracowali nad sobą! Wyrabiali w sobie wytrzymałość fizyczną i psychiczną. Ci faceci, którzy organizują takie wyprawy (może się obrazić na mnie ten i ów) są po prostu oszustami. Ich klienci nie są do końca świadomi, że jak się coś zacznie dziać, to ich przewodnicy nic nie będą w stanie zrobić. W Tatrach, w Alpach, gdy przewodnik pójdzie z klientem, to go w zębach będzie aportował, będzie go ciągnął, będzie go na plecach niósł, nie mówiąc już o tym, że przyleci śmigłowiec. W Himalajach od pewnego momentu nikt nikomu nie pomoże. Jak się zacznie piekło, to każdy będzie umierał w samotności. Ja, zawsze to podkreślam, nigdy z byle kim się nie wspinałem. Trafiłem raz i drugi nie najlepiej, zwłaszcza za

młodu. Jeżeli ktoś jest egoistą, sobkiem, histerykiem, znany jest z tego, że ubliża w ścianie, ryczy, że każda chmurka jest dobra do tego, żeby spanikować, że za chwilę będziemy umierać, to po co z nim chodzić? Uważam, że wspinanie to jest delikatna sprawa, dla mnie zawsze bardzo ważna, czysta. Dookoła było gówno, a tu było czysto. Zdarzyło się oczywiście, że kolega donos napisał, ktoś tam skłamał na temat przejść, ktoś tam może uwiódł żonę drugiemu nie elegancko, tylko jak cham, zdarzały się kradzieże, ale generalnie było czysto.

**Taternik:** Zgodzisz się jednak, że nasze środowisko było swego rodzaju enklawą; indywidualności, ciekawi ludzie. Ten sport wymuszał wysoki poziom etyczny. Teraz jest dużo przypadkowości.

**Bogumił Śloma:** Kiedyś był to sport inteligencji. Wspinali się głównie studenci. Jeśli wspinął się jakiś facet, który był robotnikiem, to się go pokazywało: „Nasz robotnik, taternik”. Na Śląsku paru mieli, w Warszawie też był jeden. Wielu, tak jak ja, miało specyficzne podejście do kariery naukowej, ale generalnie byli to inteligenci. Trafiały się i tłuczki, i ociążali umysłowo, ale *gros* to byli szalenie ciekawi ludzie. In-dywiualności: Gabryel, Teddy Gibiński, Surdel... Potem się to spauperyzowało, jak wszystko, jak cała Polska. Jaka teraz jest inteligencja? Czytasz teraz, że faceta drutują na stadionie za bicie kijami baseballowymi, a to student prawa! Moim zdaniem najfajniejszy teraz są ludzie z małych miasteczek, często ze wsi, którzy kiedyś w ogóle nie docierali w góry. Bardzo często pracują, wcale nie studiują. Przychodzą do mnie, rozmawiają na przykład o książkach; opowiadają, że do biblioteki się zapisali, ale mają daleko, muszą dojechać. Oni chcą taternictwa, alpinizmu tajemniczego i ciekawego, i świata bez telefonów komórkowych. Myślę, że „Betlejemka” daje coś z tej tajemniczości, mimo że nosimy radia. Co za paranoja! Teraz sobie przypomniałem, że jak wprowadziliśmy obowiązek chodzenia z radiami, ile było gadania, pukania się w głowę, że się odbiera romantyzm! A ile jest dzięki radiotelefonom skróconych cierpień, uratowanego życia. Przeciw telefonom komórkowym nikt się nie buntuje, każdy z „komorą” lata. Nie ma to, jak moda.

**Taternik:** Ale paru osobom „komórka” uratowała życie...

**Bogumił Śloma:** I dobrze, nie należy przesadzać. To tak, jakby nie używać lin nylonowych, tylko romantycznie na sizalu się wspinąć. Rwie się co czwarty lot, ale jest do bólu romantycznie. Niech mają te „komórki”, nie ucieknij od świata i od tego, że świat się zmienia. Zaczynam rozumieć kwestię przemijania pokoleń, bo ten świat przestaje być moim światem. Żyjemy w okresie szalenie interesującym, okresie niebywałych przemian, ale mnie to przestaje interesować. Czuję, że mój świat powoli odchodzi...

Rozmawiała: *Beata Śloma*